

Jak płaszcza żyło Boże,
Smiał ci się jej cały świat!"

Chłopcy z całej wsi ofiarowują dziewczynie
serca i proszą o wzajemność...

"Lecz dziewczyna odrzucała
Wszystkich chłopców serca dar.
Ach! Bo jeszcze nie zaznała,
Co to jest miłości czar.

Aż raz przyszedł w strony owe
Piękny chłopiec z obcych stron,
Za skarb skrzypki miał lipowe,
W sercu cudnych piosnek ton.

Odtąd tylko był jej miły
Piękny chłopiec z obcych stron,
Skrzypki mu swatami były
I miłosnej piosnki ton..."

Ostatnia nuta przeciągle zabrzmiała w czy-
stem powietrzu i umilkła.

- Dziękuję... I proszę o jeszcze...

- Nie, nie teraz... Może później...

Zadumała się Józia i przyciszonym głosem
mówić poczęła:

- Widziałam raz obraz, już nie pamiętam
czy, zatytułowany: „Skrzypki mu swatami były”.
Krzepki, barczysty parobek w czerwonej kaftance,
z zadzierzwią miną, gra na skrzypcach tęgiej,
rumianej, wiejskiej dziewczynie, która śmieje się
od ucha do ucha... Nie podobał mi się ten obraz
wcale a wcale... Bo ja sobie to dziewczę „cudne,
niby polny kwiat” zupełnie inaczej wyobrażam...

- A jakże?

- Ona ma być smukła, powiewna, subtelna,
złotowłosa - no taki naprawdę cud... A on po-
winien mieć rozrzucone, trochę w nieładzie, jasne
włosy, twarz szczupłą, ściągłą, usta blado-różowe
i duże, szare, rozmarzone oczy... I niech będzie
bardzo młody, młodziutki...

Józia, mówiąc to, sama nie zdawała sobie
sprawy z tego, że owiało ją nagle wspomnienie
Adasia Zmorskiego, wspomnienie miłe i subtelne,
jak kwietny puch...

- Tak pani tego grajka plastycznie maluje -
zauważył Łuniewski, spoglądając na nią bada-
wczo - że musi pani chyba mieć przed oczyma
jakiś żywy wzór.

Józia zastanowiła się.

- A rzeczywiście... Ma pan słuszość... Zna-
łam jednego takiego młodzieńckiego chłopca, który
„za skarb skrzypki miał lipowe - w piersi cu-
dnych piosnek ton”...

- I kochał się w pani, prawda?...

- Prawda.

- A pani?...

- Ja, nie... Byłam zresztą już narzeczoną Kon-
rada... Ale lubiłam go bardzo, a właściwie tę jego
muzykę i jego miłość... Bo to była tak ładna
miłość... taka inna, rozumie pan...

- A czyż może być brzydka miłość, pani
Józio?...

- Może - odpowiedziała krótko i jakoś
twardo.

Weszli znowu między pola i wkrótce zna-
leźli się obok kobiet, okopujących ziemniaki.

- Szczęść Boże! - zawołała Józia.

- Daj Panie Boże!... - odpowiedziały chó-
rem kobiety, obrzucając nadchodzącą parę cie-
kawymi spojrzeniami.

Józia uśmiechnęła się do nich po swojemu.

- Jakże tam robota idzie? Ziemniaki dobre?

- Gdzie ta dobre!... Ziemia taka twarda, że
kopaczką chyć nie poredzi! Karze Pan Bóg
takim suchem... - odpowiedziała kobiecina, wy-
glądająca tak staro i cherlawo, że w podziw mu-
siała wprawiać jej siła i energia przy pracy.

- Deszczu by, deszczu!... - westchnęła naj-
bliższa jej towarzysza.

- Nic przez Boskiej wole!

Inna kobieta, młoda jeszcze, zdrowa, rumiana
i to, co na wsi nazywają „śwarną”, przerwała
sobie robotę i opierając się na motyce, zagadła:

- A że to się państwo wybrali na „spacyr”
w taki „gorący”...

- Zawsze tu świeżej i chłodniej, niż w mie-
ście - odpowiedziała Józia.

- A juści, że zawdy przyjemniej...

- Daleko jeszcze do wsi? - zapytał Łu-
niewski, ocierając chustką pot z twarzy.

- Ii!... nie tak ta bardzo... jak pójdziecie tym
„brzyzkim” kole tego padła, a później kole
łaczek to i rychle zajdziecie...

- A mleka kwaśnego dostaniemy gdzie?...

- Pewnie, że ta państwo gdzieś dostaną,
choć ta na mleko nie „rety” teraz, bo paszy
mało... Przez tę suchość, krowy mleka dają
mało...

- Ale dla nas wystarczy jeszcze... - uśmie-
chnął się Julian.

- To się wie, że starcy i dla pana i dla pa-
nowej panienki...

- O! ja nie jestem wcale tego pana i nie
jestem już panienką - zawołała żywo Józia -
mam męża, tylko, że mój mąż przy wojsku...

W oczach owej „śwarnej” kobiety zapaliły
się iskry domyslnego złośliwości, a szerokie, pełne,
ponsowe jej usta rozciągnął znaczący uśmiech.

Na pomarszczonej, wyschłej twarzy babiny,
tak krzepko machającej kopaczką, ukazał się
wyraz nietajonego niezadowolenia. Surowym
wzrokiem ogarnęła młodą mężatkę i jej towa-
rzysza.

- Ha no! Różne bywają chłopcy, różne i baby...
Kto długo żyje ten się wszeleniakiego zgorsze-
nio dosyć naobziro... - odezwiała się wreszcie
filozoficznie, ale w tonie jej głosu zabrzmiała
wyraźna nagana.

Dwie dziewczuchy naciągnęły chustki głębiej
na czoło i zachichotały...

Starsze ich towarzyszek nie śmiały się wpra-
wdzić, ale uśmiechały się w specjalny sposób.

Józia nie poznała się na tej nagłej zmianie
nastroju, ale spostrzegł ją odrazu i zrozumiał
Łuniewski.

Wstrząsnął nim gniew na te zbyt domyslnie
baby i na Józję za to, że się odezwiała tak nie
do rzeczy.

- Musiała się pochwalić swoim męż-
ciem!... Miała też czem doprawdy! - kipiał cały
wewnętrzny złością.

- I jak to zaraz pospieszyła zapewnić, że
ona „wcale nie jest tego pana”.

- Zobaczymy!... - miał ochotę krzyknąć.

Przygryzł jednak tylko wargi i blady z roz-
drażnienia, rzucił rozkazującym prawie tonem:

- Proszę pani, idziemy dalej!

Spojrzała zdziwiona, ale usłuchała, bo było
coś w jego głosie i pałających gniewnie oczach,
co zmuszało do posłuszeństwa.

Przyjaźnie skinęła kobietom głową.

- Zostańcie z Bogiem! Niech będzie pochwa-
lon!...

- Na wieki wieków. Amen! - odpowiedzieli
tylko dwa głosy.

Inne kobiety zapomniały odpowiedzieć na
zbożne pozdrowienie, bo z takim wielkim za-
interesowaniem śledziły młodzieńką „żołnierkę”,
która sobie spaceruje sam na sam z „kawa-
lirem”...

- Mościewy, mało mu te ślipia z głowy do
niej nie wylezały!... - mruknęła jedna.

- Powinien ten mąż, jak wróci od wojska,
rzemienia chwycić, a i czego twardszego!...

- Tako młodzieńko i tak jej pocziwie z oczu
patrzył!...

- Żeby ona co pocziwego była, toby się
grzechu strzegła!... Mało to i u nas we wsi ta-
kich „lofrów”...

Józia i Łuniewski uszli już kilkanaście kro-
ków, kiedy owa najstarsza babina przesłoniła
dłonią wypłowiałe oczy i jęła spoglądać na
niebo, na którym ukazały się kłęby białych
chmur.

Wynikiem tej obserwacji było to, że obróciła
głowę ku odchodzącym i zawołała:

- Państwo!... Państwo!... A poczekajcie!...

Przystanęli i Józia postąpiła kilka kroków
z powrotem.

- A czego to chcecie, babusiu?...

- Niech się państwo pospieszą, bo się
chmura... Ani chybi, będzie deszcz...

- Tak? A to dziękujemy bardzo za prze-
strogę. Będziemy się spieszyli. Zostańcie z Bo-
giem.

Jasne spojrzenie Józii i jej uroczy uśmiech
dokonały swego. Twarz babiny złagodniała.

- Boże prowadź panią - wyrzekła jakimś
uroczystym tonem, który zabrzmiał jak błogo-
sławieństwo.

- Małko „krzesna” - zagadła znowu ta
rumiana, grabna kobieta - a cóż wy ich tak
przestrzegacie o ten deszcz... Oni się może de-
szcza nie boją... Przycupną se gdzie w lesie
pode drzewem, to co im bieda robi...

Rozległ się głośny śmiech, ale stara nie za-
wiotrowała...

- Nie powiadaj „proźniaków” Wikta, bo to
i obraza Boska i dziewczuchy słuchają!... - zgro-
miła surowo.

Energicznie zabrała się do okopywania i od-
walając jedną grudkę ziemi za drugą, dodała
jeszcze:

- Juści, że nie powinna innych chłopów

patrzeć, kie swojego ma... Ale kto ją ta do reśty
wie... Miałowe obyczaje inaksze... A niema
gadki, że to temu pocziwie z oczu wyziro, bo
pocziwie.

Józia i jej towarzysz nie słyszeli tego wszys-
kiego, bo uszli już spory kawałek drogi.

Milczeli oboje, a Łuniewski, zirytowany, szedł
tak szybko, że mu Józia ledwie nadążyć mogła.

- Ależ, proszę pana, czego my tak lecimy?

Spojrzał na nią iskrzącymi się oczyma.

- Poco pani wtajemniczała te baby - za-
pytał szorstko - w swoje rodzinne stosunki.

Co je to mogło obchodzić, czy pani jest, lub nie
jest mężatką i co się dzieje z pani mężem?

- Ależ te kobiety brały mnie za narzeczoną
pańską!

- Więc cóż z tego?!

- Panie, to przecież niepodobna...

- Niby dlaczego?

- A cóżby Konrad na to powiedział... I ja
sama nie chcę, żeby mnie za czyją inną uwa-
żali żonę!...

Łuniewski ścisnął tak zęby, że zgrzytnęły.
Na policzki wystąpiły mu dwie niewielkie plamy
czerwone, które ciekawie odbijały od jego bla-
dawe, kobieco-delikatnej cery.

Czy ona rzeczywiście tamtego firyka tak
kocha, czy to jest tylko kokieterya?!

Przecież przez te oczy nie przegląda dusza Penelopy!...
- Co za przykładna nadczuła wierność -
zadrwił - i przez to naraziła się pani na bez-
czelne spojrzenia i z pewnością niepoehlebne
komentarze tych bab!...

Józję tak zastanowiło to, co mówił, że za-
pomniła obrazić się jego szorstkim tonem.

- Jaki, co pan chce powiedzieć?...

- Czy pani doprawdy tak naiwna?!

Nie domyśla się pani, jakiego rodzaju wnioski mo-
gły snuć sobie po tem budującym pani wyja-
śnieniu?...

Młoda kobieta zmieszala się.

- A może one miały rację - wyrzekła nie-
pewnie. - Może ja nie powinnam iść z panem
sama tak daleko... Że też to wcześniej się nie
zastanowiłam...

- Ciekawym tylko, czy pan Konrad tak skru-
pulatnie zastanawia się, jeżeli mu wypadnie iść
na spacer z jaką ładną Węgierką!... O ile pamię-
tam, lubi bardzo ogniste brunetki!...

Ostry kolec dobrze wymierzony, ułkwił w sercu
młodej kobiety. Nie miała ona wcale bezwzględ-
nego zaufania do stałości swego męża.

I wstrząsnęła się na wzmiankę o przypu-
szczalnym spacerze Konrada z ognistą bru-
netką...

Łzy zamigotały jej w oczach, wargi wydęły
się, jak u zadąsanego dziecka.

- Zły pan jest, niedobry!... - zawołała. -
Dokucz mi pan!... Nie chcę pana znać!... Niech
sobie pan sam idzie dalej!...

Zawróciła gwałtownie.

Dwie łzy, jakie jasne perły, toczyły się po po-
liczkach nieocieranej.

- Pani Józio!...

Jednym skokiem był przy niej i chwycił ją
za rękę.

- Niech pan sobie idzie!...

- Przepraszam panią, byłem chamski, bru-
talny, ordynarny! Niech mi pani nagada, niech
mnie pani nawymyśla, ale proszę darować!...

- Pan był niedobry!... - powtórzyła cicho,
bo rozdrażnienie zaczęło w niej już ostygnać.

- Tak, byłem niedobry, ale już nie będę!...

Tylko niech mi pani przebaczy!...

- Nigdy pan już...

- Nigdy!...

- No, jeżeli pan przyrzeka, to... to ja się już
nie gniewam!...

Uśmiechnęła się do niego przez łzy jeszcze.

Patrzył oczarowany i wzruszony do głębi.

- Dzieciaku mój cudny - wołało w nim
coś. - Dlaczego ciągle on... ciągle tamten!...

- Proszę pana, czy pan oniemiał?...

Milczy pan i milczy już chyba od dziesięciu minut.

- Chce pani, żebym mówił?...

- A rozumie się. Rozgniewał mnie pan,
rozdrażnił, to proszę teraz bawić!...

- Jak mam panią bawić?...

- Jak?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)